Lwów, 26. Maja. №62. Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziale za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stepl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*.

WIENIEC CIERNIOWY.

Rozdział XI.

PALEC OPATRZNOŚCI.

(Ciąg dalszy.)

— Przeklęty bądź!.. jęczącym głosem krzyczał ranny, starając się ręką powstrzymać buchającą krew. Ty i twoja matka! mówił dalej, a głos jego stawał się coraz mniej wyraźny, i twój ojciec zabiliście mnie.. Przekleństwo wam! przekleństwo! przekleństwo! krzyknął raz jeszcze i głos jego słabł coraz więcej.

Witołd zapomniał w tej chwili o powodach do własnej obrony, on to tylko zdawał się pamiętać co mu złowrogo szumiało w uszach.

— Zabiłeś człowieka!

— Przeklęty bądź! krzyczał ranny ostatnie wytężając siły. Przeklęty! przeklęty!.. zabójco!.. wychodziły coraz leniwsze słowa z jego sinych ust. I jeszcze się rzucił parę razy, złowrogie spojrzenie rzucił na Witołda, i upadł bezsilny. Parę jęków jeszcze, i parę westchnień, zrobiło się cicho w lesie, burza tylko oddalając się coraz więcej, odzywała się od czasu do czasu głuchym łoskotem.. Schylił się Witołd do brygadiera, porwał wroga za rękę z prawdziwem uczuciem; ręka była już zimna i strętwiała.. spojrzał w oko, to stało rozwarte, wyszczerzone, martwe..

— Nie żyje już! krzyknął i zerwał się bez przytomności. więc ja zabójca, zabójca!.. powtarzał razy kilka. Dziwne uczucie bolu uczuł w głowie, nie z powodu rany. Nie! tam w środku głowy, jakby coś nagle pękło, jakby się co urwało!. Zdało mu się że słyszy zewsząd wołające na niego głosy.

— Zabójca! zabójca!.

Machinalnie dopadł konia i spiął go z całej siły ostrogami i pomknął drogą do zamku Słobódeckiego, niezważając na to zupełnie, że mu ciągle krew kapała po czole i twarzy.

Zabójco! powtarzało mu zewsząd. Biedny Witołd nie zdołał wytrzymać tego ciosu. Nieprzytomny, z pomieszanem umysłem pędził do Słobódki, nie pamiętając nawet na wszystko co poprzedziło to zdarzenie okropne. Dla umysłu tak szlachetnego, i tak młodego, był to cios niepowetowany. Jakby go duch zabitego prześladował, tak gonił naprzód, i to tylko jedno rozumiał, że stał się samochcąc zabójcą To było okropne!

Podczas gdy się to działo, zobaczymy co się działo w sali Słobódeckiej.

Nadaremnie chciano w sali przywrócić poprzednią wesołość. Widok smutnych twarzy na osobach główne grono stanowiących, oddziaływał na całe towarzystwo. Burza też coraz więcej wzmagająca się, jak to zwykle bywa, smutny wywierała wpływ. Dziwne zrządzenie przypadku.. Śmierć jednego mnicha w ledwie znanym klasztorku, rzucała cień smutku na towarzystwo tak liczne, zebrane z takich żywiołów, w tak ważnej chwili. Xiążę Józef który tego nielubił, i zwykle nie dlugo frasunkom się oddawał, a teraz się gniewał niepospolicie sam na swoje niezwykłe usposobienie, ku smutnym skłaniające się myślom, starał się pierwszy ożywić rozmowę, i udawał się to pomiędzy mężczyzn, to pomiędzy kobiety, rzucając wszędzie te słowa uprzejme, i uprzejmiejsze jeszcze spojrzenia, a najuprzejmiejszy uśmiech, które były jego największym i niezaprzeczonym urokiem. Najdłużej zatrzymał się przy starym chorążym, który zdarzeniami dnia tego rozgrzany, rospowiadał rozmaite swego długiego życia wyprawy. Wszyscy słuchali z zajęciem staruszka, jak opowiadał zarumieniony odbiciem dawnego życia i dawnego zapału, swój pobyt na ukraińskich szlakach.

— Człowiek mościumdzieju, żył w tenczas pełnem życiem! bo to było życie żołnierskie. jak na polskiego szlachcica przystało, i czy człowiek okiem czy myślą rzucił w około, to po swoim bujał kraju.

— I tam poznaliśmy się! przerwał książe Józef.

— Tam tó nabrałeś mościudzieju Wasza Xiążęca Mość tego ducha rycerskiego, którego trudno było nabrać na dworze.. Tylko co nie wyraził: pana stolnika; ale jakoś w sam czas przypomniał sobie przed kim mówi, i dodał: Waszego Stryja... lecz pogardliwego uśmiechu nie mógł ukryć przed księciem.

— Ciężko on ukarany!... wyrzekł smutniejszym głosem..

Jakoś nie szło; i ta rozmowa skończyła się nie wesoło. I tym sposobem z rozmowy w rozmowę przechodząc mijały godzina po godzinie. Antosię proszono aby śpiewała bo książe Józef namiętnie lubił śpiewy. Trudno było odmówić; z ciężkiem sercem zasiadła do fortepianu; chciała

zanucić pieśń jaką narodową, lub jaką z owych nut romantycznych, które wówczas rycerskie przypominając czasy wychodziły wraz z orłami francuskiemi z Paryża na cały świat. Nie mogła; dobywały się jej z ust same tony smutne, żałobne. Nagle pękła z łoskotem strona w fortepianie i głośniejszy ozwał się grzmot.

Przestraszona skoczyła dziewczyna, i choć się wszyscy uśmiechali, mimowolnie udzielało się wszystkim przykre jakieś wrażenię. Bo człowiek tak mało ufa szczęściu własnemu, że łatwo uwierzy w każde przeczucie choćby najprzesądniejsze.

I znowu minęło parę godzin, ledwie ożywionych rozmową urywającą się co chwila. Przykładały się do tego samotne pary niektóre, które pozasiadawszy wszystkie kąty salonu, korzystając z krótkich chwil poznania, starali się jak najwięcej ubieżyć po drodze uczuciowych pogadanek. Ileż to tam, ile to zawsze w takich chwilach zawiąże się czułych znajomości, w których jest prawda, szczerość i zapał, a które rozerwie czas, lub kula nieprzyjacielska. Burza tymczasem wzmagała się i zbliżała coraz więcej, burza letnia, z całym swym hukiem gromów, i światłem łyskawic.

Już było po północy; już się na dole robił ruch pomału i bez gwaru odchodzących pułków, już nawet wielu oficerów służbowych wyszło z salonu, by ponieść rozkazy wodza, już się nawet zbliżała chwila przeznaczona do dalszego pochodu, gdy nagle w pośród nowego w rozmowie ustanku dał się słyszeć tętent konia, zbliżający się tak prędko, jakby jeździec gonił szalonym, nie ludzkim pędem.

— To on!.. wyrzekła matka do córki, chcąc ją pocieszyć.

— On! odrzekła bezmyślnie, a każde przyspieszone uderzenie kopyt goniącego konia zda się uderzać coraz silniej a boleśniej w jej przyspieszonym biegiem bijące serce, Dla czego?.. Ona nie wie dla czego?.. ale czuje że się zbliża ważna jakaś w jej życiu chwila.

A tętent konia coraz donośniejszy. To jest pęd nienaturalny, to dzika gonitwa!.. Wszyscy obecni czuli to zwracając oczy ku oknom i drzwiom. Jeszcze parę uderzeń o bruk dziedzińca prędkich i grzmotliwych, i zrobiło się cicho, cicho na dziedzińcu, cicho w salonie, wszyscy zda się dech w sobie zatrzymywali.. Ozwały się wreszcie kroki w przyległym pokoju. Otwarły się drzwi.

Wszedł przez nie Witołd. Mimowolnie wszystkie przytomnych usta wydały okrzyk przerażenia. Blady był, bladością nienaturalną; włosy czy od jazdy, czy z innej przyczyny rozrzucone zdawały jeżyć się do góry i odsłaniały ową bliznę dziecinną, która teraz zaczerwieniona okropnie plamami sączącemi się krwi, jaskrawym płomienistym wydawała się wieńcem przy niezwykłej twarzy i czoła bladości; oczy miał nieruchomie wytężone naprzód, a łyszczące jakąś przeraźliwą burzą wewnętrzną; twarz cała do niepoznania prawie pokurczona była uśmiechem gorzkim, wzbudzającym trwogę w najzimniejszym umyśle.

— Co jemu?.. pytały wszystkie oczy ku niemu wzruconę..

— Ranny, mówili drudzy.

Antosia patrzała na niego w milczeniu, i drżała, drżała okropnie, jak listek burzą poruszony. Biedna dziewczyna, którą zdybuje wściekła nieprzygotowana burza przy pierwszym na świat występie, przy pierwszem rozwinięciu pączków, nadziei i uczuć!..

Witołd nie zdawał się uważać na przytomnych, ani na wrażenie jakie sprawił... Szedł naprzód wymuszonym prawie krokiem, i nagle stanął, a okiem po wszystkich przeciągnął twarzach.

Nagle zaśmiał się śmiechem okropnym, któremu odpowiedział jękliwy krzyk przestraszonej dziewczyny.

— Gdzie moja matka!.. zawołał głosem tak zmienionym, jak cała jego powierzchowność, bo był to głos suchy jakby starca, bez onej dźwięcznej elastyczności głosu młodego. Gdzie ona? powtórzył; zabiłem!.. dodał wznosząc głos do tonu przraźliwego, zwrócony do matki. Zemściłem się za ciebie matko, on mnie zabił, teraz ja jego zabiłem; mówił dalej, i powtórzył ten przykry i szyderczy śmiech.

Porwał się Witołd za głowę, za ową bliznę tak nagle i gwałtownie, jakby go ból porwał straszny.

— Wieniec cierniowy! mówił dalej; to znak Kaima na mej głowie.. Kaima!.. zabójcy, powtarzał z przerażającem natężeniem.

Antosia chociaż drżąca cała, opierała się z całą energią, którą posiadała w wysokim stopniu, wzmagającemu się w niej wzruszeniu, i dobywszy wszystkich prawie sił swoich, zbliżyła się do Witołda!..

— Witołdzie! Witołdzie!.. wołała do niego głosem, w którym się mieściły zda się najrzewniejsze łzy miłości, błagania, modlitwy prawie.

Witołd usłyszawszy ten głos, wstrząsł się cały okropnie.

— Precz!... precz!... krzyknął nieludzkim głosem... precz odemnie!. patrz na znak Kaima!.. uciekaj od zabójcy!..

Trudno było dalej wątpić. Biedny Witołd dostał widocznie pomieszania zmysłów, czy w skutek lekkiej rany, czy co prawdopodobniej w skutek tego nierozważnego czynu, który tak nagle przerywając jego życie cnotliwe i niewinne, zrobił z niego zabójcę.

W kilka chwil poźniej, w osobnym pokoju stał Witołd a przy nim książą Józef, pani Wolińska, szambelan, i biedna Antosia bledsza od białej chustki, którą wstrzywała łkania dobywające się jej z piersi. Witołd po gwałtownem wstrząśnieniu, stał spokojny, otrętwiały; trzymał

go za ręce obcy człowiek w mundurze. Był to lekarz sztabowy powołany przez księcia Józefa..

— Synu mój! mówiła biedna pani Wolińska, której twarz zdawała się być w tej chwili o lat dziesięć starsza a całe życia szczęście stracone na zawsze.

— Synu mój!.. mówił z drugiej strony książe Józef głęboko wzruszony.

Szambelan nic nie mówił, bo nic wymówić nie mógł. Już mu tym razem tabakierka niepomogła; łzy jak groch wielkie spadły mu z oczów, zmywszy róż i blansz; one zmywały jeszcze więcej, bo wszyskie inne wady płochego człowieka.

— I cóż? zapytał książę po długiej chwili lekarza.

Lekarz nic nie odpowiedział, głową tylko kiwał..

— Niema nadziei? szepnął książe..

— W Bogu chyba! odrzekł lekarz jak mógł najciszej.

Ale Antosia czy usłyszała, czy przeczuła te słowa, zakrzyknęła przeraźliwie, i padła bez zmysłów w objęcia matki.

Słysząc ten krzyk, poznał snać Witołd głos ten tak dawniej uchu i sercu miły.. wstrząsł się znowu, i znowu zaczął krzyczeć niezrozumiałe słowa.

— Precz! precz odemnie!.. wieniec cierniowy.. znak Kaima!.. Zabójca jestem!.. dziewczyno uciekaj niewinna.

Nagle się odwrócił, i szybkim z pokoju wybiegł krokiem. Nikt go niewstrzymywał, bo wszyskich przerażenie trzymało nieruchomych.

Biedny Witołd siadł nazad na konia, i pogonił znowu do klasztoru. Jedna chwila zrobiła go nieszczęśiwym, obłąkanym człowiekiem.

Epilog.

Cóż więcej mamy powiedzieć o biednym młodzieńcu i jego losie nieszczęśliwym?

W kilka tygodni po tem zdarzeniu znajdujemy bohatyra naszego, w znanej już nam pracowni jego malarskiej. Przez te dnie przeszło już wojsko polskie i francuskie, w Słobódce cicho było jak dawniej; ojca Dominika już pochowano, a stary Wenda, jakby czekał tylko tej chwili, w której ujrzy jeszcze wojsko narodowe, leżał na śmiertelnej pościeli, lecz przez te dnie nic się nie zmieniło w usposobieniu biednego Witołda. Po pierwszym wybuchu namiętniejszym wpadł on w stan pozornej apatyi, mało na zewnątrz, ale tem więcej żył na wewnątrz, oddany ciągle prawie bezładnym marzeniom, do nikogo nic nie mówił, ani też z ruchów jego odgadnąć można było stopień jego obłąkania. Na twarzy tylko bladej, wychudłej, odartej z dawnego tak żywego wyrazu, widać było głębokie cierpienie, a oczy albo uparcie w jedno miejsce wlepione, albo błąkające się w około zdradzały trwające pomieszanie zmysłów.

Po pogrzebie starego opiekuna swego, któremu najprzytomniej ostatnie oddał posługi, długo klęczał na jego grobie, i jak się zdawało, modlił najprzykładniej, lecz się nie odezwał do nikogo, ani też skarzył się przed kim. Zamknięty w sobie, najchętniej w pracowni swej przebywał, i tak go właśnie zastajemy w chwili, kiedy przybyły do klasztoru pani Wolińska z Antosią.

Obydwie były zmienione najokropniej, i cierpiały nieskończenie. Ta tylko różnica była w ich cierpieniach, że w sercu Antosi jako młodszej, niedoświadczonej, po pierwszych chwilach rozpaczy, zatliła nadzieja, ta w człowieku nigdy nie zgaszona iskierka, co mu przez życie całe aż do grobu błędnym najczęściej świeci ognikiem.

Ona nie mogła i nie chciała uwierzyć, aby to obłąkanie Witołda było nie do wyleczenia, było już zamroczeniem na zawsze tego przed kilkoma jeszcze dniami tak wzniosłego i żywego umysłu. Ona to obłąkanie chwilowe przypisywała jego nadzwyczajnej drażliwości, poruszonej śmiercią brygadiera, którego jak ogólne było mniemanie, zabił w pojedynku. A że dowiedziała się już od pani Wolińskiej, że była przybraną tylko jej córką, śmierć brygadiera nie zrobiła na niej tak wielkiego wrażenia, i więcej żałowała kochanka że był przymuszony niejako zabić tego, do którego nigdy serca nie miała.

Kochała go jak dawniej, i mocniej jeszcze; bo w sercu niewieściem, cierpienie gdyby najokropniejsze najwięcej odrażające ukochanego przedmiotu, zwiększa jeszcze miłość bezgraniczną litością, tą prawdziwą kobiet cnotą. Ona wierzyła w to, że jej miłość serdeczna, z jaką gotowa była poświęcić się dla Witołda, musi w końcu przezwyciężyć ten chwilowy obłęd, który jak mgła osiadła na jego umyśle; ona prędzej czy później miłością swoją, głosem swoim, przebije tę mgłę, odsunie ją na zawsze, i odzyszcze ukochanego Witołda.

Pani Wolińska nie miała żadnej nadziei. Z najwyższego szczęścia, którego dotykała już, przeszła nagle w najwyższą rozpacz. Ze słów Witołda, odgadła nagle tajemnicę spalonego domu, odkrytą zapewne przez ojca Dominika, i znając charakter męża, odgadła także jakby tam była przytomną, zdybanie nieszczęśliwego brygadiera z Witołdem, i wynikłą z tego katastrofę.

Z drugiej zaś strony znając exaltowane usposobienie syna, żadnej nie miała nadziei, by to jego wstrząśnienie umysłowe w skutek mimowolnego prawie zabójstwa, zniknąć kiedy mogło.

A gdyby nawet; czuła to, że Witołd zabójstwa tego nigdy sobie nie daruje, i sam się skarze odstąpieniem na zawsze szczęścia swego; przykładało się jeszcze do tego i to smutne przekonanie, którego niczem wyrozumować sobie nie mogła pani Krystyna, że ona jest przyczyną tego nie-

szczęścia, które słuszną jest karą za grzech jej młodości.

A więc co cierpiała biedna matka, łatwiej pojąć niżli opisać.

— On pokutuje za mnie! powtarzało jej sumienie bezustannie.

Krzepiła się jak mogła przez wzgląd na Antosię, któréj nieśmiała odkryć prawdy, by jej ostatniej nie odebrać nadziei i czyliż w reszcie mogła to niewinne dziecko prawie, kalać odkryciem własnego grzechu, i zbrodni popełnionej przez tego, którego ona dotąd uważała za ojca?

Obie kobiety zastały Witołda w pracowni. Biedny młodzieniec nie próżnował przez te dnie, co świadczyło kilka obrazków po części skończonych, po części porozpoczynanych. I w tej chwili zajęty był malowaniem. Gdy weszły, uderzyły ich jeszcze przygotowania jakieś, jakby do podróży; rysunki bowiem rozmaite, do których wiedziały, że Witołd wielką przykłada wagę, leżały razem powiązane i złożone do teki, z którą nieraz odbywał on podróże po dalszych i bliższych okolicach, zbierając szkice krajobrazów ojczystych.

Obrócony tyłem do drzwi nie spostrzegł wchodzących i malował dalej. Kobiety drżące na całem ciele zbliżały się pomału, modląc się po cichu do Boga aby ich usiłowania nie były daremne. Antosi serce na widok tej pracowni, tak dobrze znanej, w której zaczęło się to jej przywiązanie silne, drżało ciężkim bolem, i rwało się naprzód — nadzieją... Wszak to on! ten sam kochany Witołd! czyliż może pozostać głuchym na jej głos, który tak niedawno jeszcze tyle go poruszał...

— Witołdzie! ozwała się matka.

— Witołdzie! ozwała się córka.

Obie kobiety umieściły w wyrazie głosu swego co jest najpiękniejszego w uczuciach ludzkich; uczucie matki, i uczucie kochanki niewinnej. Czyliż może zostać obojętnym, syn, i kochanek?

Snać usłyszał głos, bo się obrócił, ale wyraz głosu nie trafił do duszy zasłoniętej mgłą obłędu; bo twarz jego nie zmieniła się, oko nie zalśniło. Patrzał na nie tak obojętnie, że obie kobiety ledwie zdołały powstrzymać gwałtem dobywające się łzy. Szczęśliwsze od niego, one płakać jeszcze mogły.

— Tak mnie nazywano dawniej! odrzekł tym samym głosem bez dźwięku, który jest jakby ciało bez duszy, to samo co pierwej, ale bez życia, które było jego ozdobą. Dziś noszę nazwę Kaina! który był pierwszym mordercą!

— Witołdzie! powtórzyły obydwie, a głos ich łzami zmiękczony, zdołałby zda się skałę przebić.

On pozostał niezmieniony, uśmiechnął się tylko uśmiechem, który obie kobiety pochwycił za serca, i kiwnął ręką smutnie.

— To już przeszło... i nie wróci! to było bardzo dawno! pókim był w raju, dopóki mnie z niego grzech nie wypędził... Grzech! jaki grzech? powtórzył jakby sam siebie pytał... Morderstwo... krew, którą widzę zawsze.

— Witołdzie! powtórzyły raz jeszcze błagającym głosem.

Poruszył się nieco, jak gdyby go coś niepokoiło; zadrżała może w nim niteczka jaka z porwanego pamiątek pasma, ale milczał i po chwili dopiero wyrzekł głosem obojętnym jak pierwej:

— Chcecie zapewne oglądać zbiór moich obrazów. Mówili dawniej ludzie, że ja miałem talent. Głupi ludzie! ja teraz dopiero mam talent... ale nie na dziś, nie na wczoraj, ale na jutro... Chodźcie, i patrzcie! ja przyszłość maluję! Czy rozumiecie mnie? przyszłość!

Biedne kobiety szły za nim w milczeniu od obrazu do obrazu, i zrozumiały teraz dopiero, co on rozumie pod tem słowem: przyszłość.

Na wszystkich tych świeżo pomalowanych obrazach były portrety samych najlepiej mu znanych osób, były tam pani Wolińska, Antosia, szambelan, ojciec Dominik, i on sam. Na każdym zaś portrecie ta sama i jedna osoba była kilka razy odszkicowana, z odmianami, na których widok zadrżały biedne kobiety, i ledwie wstrzymać się mogły od krzyku.

Twarz bowiem każda oddana najprzód z jej zwykłym wyrazem, przerabiała się pomału pod pędzlem obłąkanego malarza, przechodząc przez najrozmaitsze wyrazy przekrzywione i straszne, żalu, smutku, rozpaczy, aż do wyrazu najokropniejszego szaleństwa, które rys po rysie za każdą przemianą przybywało, i wzmagało się tak widocznie i tak naturalnie, że bez wzdrygnienia się patrzeć nie można było na te twarze przerabiające się niejako przed okiem patrzącego. Była to galerja warjatów, z całą historją ich życia namacalnie oddaną, rys po rysie, boleść po boleści, rozpacz po rozpaczy.

I każda twarz była podobna od pierwszej aż do ostatniej przemiany, co tem większe sprawiało wrażenie na te dwie kobiety, patrzące na siebie samych i na tego, którego przed wszystkiem obie tak czule kochały. (D. n.)

PRZESTROGA I ŻYCZENIE.

(z Lenaua.)

Nie żyj nigdy tak burzliwie,
Patrz na wiosny kwietne stroje,
Słuchaj ptaszął śpiewne chóry,
Ach, jak blade lica twoje!

Zwiędnie róża, to znów wróci,
A z nią powój z łzą poraną,
Wrócą także i słowiki:
Czy cię jeszcze tu zastaną?

Gdybym mógł tak żyć serdecznie,
Wolno, szybko i znikomo,
Jak ta lotna błyskawica,
Co za górą znikła stromą! —

Romuald K.....

BIBLIOTEKA POLSKA.

Reassumując tedy to wszystko cośmy tu powiedzieli powtarzamy, że biblioteka jest przedsiębiorstwem mogącem stanąć na najwyższem stanowisku pożytku powszechnego, że drogą do tego konieczną jest powolne tworzenie, kształcenie czytelników polskich, za pomocą jak największej rozmaitości, dzieł nowych i dawnych, zajmujących i nauczających we wszystkich kierunkach, że cel ten mogą nareszcie osiągnąć szanowni wydawcy po samychże ich ogłoszeniach miarkując, jeżeli powszechność nasza, tyle zawsze chętna i rzec można uczuciowa, gdy idzie o dobro ogółu, pojąwszy swe wysokie w tej mierze stanowisko i obowiązki, zechce to nowe przedsiębiorstwo wesprzeć jak najdzielniej, licznemi przedpłatami. Przedpłaty te dla każdego z osobna mało znaczące, postawią wydawców w możliwości i w powinności, obok przedruków, nabywania dzieł nowych, i postępowania przy wyborze stosownie do potrzeb i wymagań teraźniejszości.

Bez tego przedsiębiorstwo to skarleć by musiało koniecznie na rozmiary do indywidualnych zapatrywań się zastósowane. A szkoda by było, bo jest to przecie przedsiębiorstwo, które przez czas dłuższy trwając, powszechnem współczuciem pielęgnowane, może wzróść do historycznej wagi, i wartości nieprzeliczonej. A redukując nawet na mniejsze rozmiary, czyliż to niepowinno ubodz naszą miłość własną, że gdy Francuzi i Niemcy mają nieprzeliczoną ilość podobnych zbiorów, my dotąd żadnego nie mamy. Czyliż tylko u nas ma koniecznie upadać każde przedsiębiorstwo ważniejsze, nie brakiem chęci i sił bo na tych nam nie zbywa, ale wytrwałości w przeprowadzeniu i dokonaniu rozpoczętego dzieła.

Wytrwałość powszechności w udzielaniu swej opieki nada wytrwałcści wydawcom, a na każdy przypadek, najtrudniej tu o początek. Przedsiębiorstwo to gdy raz wejdzie w życie, choćby były błędy jak w każdem dziele ludzkim, tyle się okaże raz po razie pożytecznym i praktycznym, iż gdy się raz rozbudzi ku niemu powszechna sympatya, nie upadnie już więcej, ale przeciwnie wyrobi się i wzniesie; bo jak w wielkich tak i w mniejszych zdarzeniach i przedsięwzięciach pewnikiem jest, iż ile razy pojawila się myśl prawdziwie pożyteczna i czasowa, skoro raz tylko w życie wchodzić poczynała, znaleźli się do niej przewodnicy, dający jej polot i kierunek.

Przedsiębiorstwo to polecając, nie idzie nam zupełnie o indywidualność osób, ale o myśl samą, by nie przepadła. Mniejsza o osoby byle myśl pozostała.

Wspomnieć tu jeszcze nam wypada, że jak już napomknęliśmy, wyszedł pierwszy zeszyt zawierający Marją Malczewskiego. O poemacie samym mówić nie będziemy, bo najwymowniejsze pochwały nic nie dodadzą do uznanej już powszechnie jego wyższej wartości. Powiemy tylko że wydanie jest ozdobne i poprawnę, papier biały i piękny, druk kształtny, wyraźny, a nie przesadnie szeroki jak to dziś jest w zwyczaju. Cały poemat wraz z przedmową i objaśnieniami mieści się na trzech arkuszach czytelnego bardzo druku. Przedmowa zawiera prócz znanych szczegółów z życia poety, umieszczonych w wydaniu Bielowskiego, niektóre mniej znane szczegóły, zawarte w liście Józefa hr. Załuskiego, jenerała wojsk polskich do wydawcy, Kazimierza Turowskiego.

Józef hr. Załuski poznał Malczewskiego, gdy przyjechał w r. 1812 z Paryża do Warszawy. Poeta nasz był w ówczas oficerem w wojsku xięstwa Warszawskiego, i żył w najściślejszej przyjaźni z Błędowskim, później jenerałem polskim w r. 1831. Dla błahej jakiejś przyczyny pokłócili się między sobą, że mimo wzdragania się Błędowskiego strzelali się w pokoju i bez świadków. Dowodzi to zawsze, jak się wyraża jenerał Załuski krewkości Malczewskiego, i jego wygórowanych wyobrażeń o honorze.

Twierdzi dalej jenerał, że Malczewski kulał potem całe życie w skutek tego pojedynku. W roku 1815 częściej go widywał jenerał Załuski, tem więcej że się był rozkochał w siostrze jenerała, Frydrykowej Lubomirskiej, która „jak powiada brat w rzeczonym liście“ możeby była poszła za niego, gdyby była rozwiedziona.

Zerwanie tego związku wpłynęło przeważnie na usposobienie Malczewskiego, który ztetryczał zupełnie. Widywał go i później w Warszawie, nim wydał Marję. Ledwie go poznał, tak był zmieniony, ów dawniejszy Adonis podobny nieco z rysów do Stanisława Augusta, wyglądał w żałobnym półduchownym stroju swoim podobny do pastora luterskiego.

Śmierć jego zdaje się hr. Załuski przypisywać samobójstwu, popełnionemu w skutek nędzy; kończy zaś o nim, mówiąc, że był to młody człowiek zbyt uniesionej ambicyi. „Mocno go żałowałem, bo to był młodzieniec pełen uczuć wzniosłych, i najpiękniejszych nadziei, i jeżeli grzeszył, grzeszył zbytkiem uczuć, które są niestety aż nadto rzadkie.“

Radzi nareszcie jenerał Załuski wydawcy Maryi, aby się udał po bliższe szczegóły do którego z Krzemienieckich Malczewskiego kolegów. Jeden z nich tyle tylko mógł udzielić, że Malczewski był młodzieńcem pełnym nadziei, łączącym z nadzwyczajną urodą ciała, wielkie zdolności duszy, że był wielkim polubieńcem Czackiego,

kwiatem młodzieży krzemienieckiej, i że kończył zawód szkolny pozyskaniem złotego medalu. Za radą tego kolegi idąc wzywa wydawca tą samą przedmową swoją innych kolegów Malczewskiego, mianowicie Michała Czackiego, Ludwika Steckiego. Wymienia i innych aby mu udzielili wiadomości jakie mieć mogą o życiu tego wieszcza. To skłania nas do zrobienia tej jeszcze uwagi, że w ostatnich czasach, wiele nowych i ciekawych szczegółów o Malczewskim zebrały pisma czasowe Warszawskie.

MISCELLANEA

przez

Juliusza hrabiego Strutyńskiego.

Pod tym tytułem wyszło w Wilnie nowe dziełko autora *Chmur przeszłości*, zawierających słabe bardzo rymotworcze płody jego.

Dziełko to mające niby dać nam wyobrażenie o pobycie autora na Kaukazie, jest prawdziwa mieszaninka, rodzajem słodkich *tutti fratti*, które p. hr. Strutyński podaje do spożycia mnogim przyjaciołom swoim, jakich po dwakroć wymienia w tem dziełku, przypisując je im, i oczywiście samym hrabiom, xiążętom, i w ogóle takim gentlemanom jakim sam ciągle w opisach swych występuje. I jakby się bał, aby broń boże nie myślano, że pisze dla całej gawiedzi czytających, wyraźnie oświadcza w przypisie przyjaciołom poświęconym: „Pisałem dla was nie dla Publiczności.“ I w rzeczy samej cała ta zbieranina własnych wrażeń, godna jest tylko samego autora i jego zacnych przyjaciół i kolegów broni. Bo przedewszystkiem autor, o którym nawiasem i od niechcenia dowiadujemy się, że był adjutantem wielkorządcy Kaukazu, i wnukiem jakiejś bardzo zacnej starościny, mającej swe dobra na Ukrainie, jest prawdziwym gentlemanem, prawdziwie fashionable, któremu komfort i rodem odpowiedni towarzyszé są potrzebni. Po za obręb tego kółka niewychodzi nigdy, i dla niego zda się kończy świat na nim i jego wielce salonowem towarzystwie.

W pierwszej części tego dziełka mianowicie odbija się ta zabawna autora indywidualność w barwach nadzwyczaj jaskrawych. Składa się bowiem ta część z opisu towarzystwa, w jakim żył w Tiflis, towarzystwa oczywiście pur sang, same tam występują portrety, które mogą być podobne, ale nadzwyczaj pochlebione, jakby przez sprytnego malarza robione, który wie, że każdy i każda chcą przyjść do potomności jak najliczniejszemi wdziękami obdarzeni, podobnie do onego jegomości znanego dobrze w kraju naszym z talentu swego do pływania w rozmowie, który będąc nie wielkim i dość chudym, kazał się wymalować w olbrzymiej postaci i z poważną tuszą, a zdziwionemu malarzowi rzekł:

— Niech wiedzą mospanie nasi potomkowie, jakich tęgich mieli przodków!.

Owoż w tym guście są portrety p. hr. Strutyńskiego. Wszyscy ci panowie z jego towarzystwa, a są między nimi jenerałowie, książęta, angielscy i francuzcy ajenci dyplomatyczni, bogaci panicze, lubiący trwonić; to same doskonałości, obdarzone wyższą myślą, równie jak i tym tonem wyższym, który wedle hrabiego autora daje jedynie człowiekowi prawo, by był człowiekiem godnym jego uwagi i zastanawiania się. Kto zna rossyjskie towarzystwa z bogatszych paniczów złożone, pozna je od razu w szkicu p. Strutyńskiego.

Jest to to samo towarzystwo, gwarzące na krańcach Kaukazu po francuzku o wszystkiem, a zatem o niczem, a zrywające się *na stojaszcze* na rozkaz carski po rossyjsku, pełne uprzedzeń o swej wysoko ucywilizowanej ogładzie, sypiące dowcipami i kalamburami francuskiemi, a gdy się zdarzy i knutami podwładnym aplikowanemi, towarzystwo nareszcie, które nie może żyć bez hulackich bankietów, i nieodzownego *Szampanskoho*. Takie też towarzystwo opisuje nam autor, strojąc oczywiście dowolnie, i wracając z upodobaniem do bankietów *złotej bandy*, jak się sami nazywają małpując *la jeunesse dorée* francuzów; bankiety bywały huczne, smaczne, wykwintne i oblewane sowicie fabrykatem mussującym, którego Szampania pewnie niema na swojem sumieniu.

Te opisy do których autor umie zgrabnie wmieszać cytacje włoskie, angielskie, hiszpańskie, i rossyjskie rozmaitych poezyi i sensów moralnych, zabierają prawie połowę niewielkiego tomiku.

Wyjeżdża z Tiflis, nie bez rzęsistych toastów pożegnawczych. Może też odrywając się od kółka towarzyskiego, odbije się w nim jaki typ odrębny? Gdzie tam?. Jedzie ale zawsze hr. Strutyński, adjutant wielkorządcy Kaukazu, zawsze on sam w swojem społecznem położeniu. A szkoda! bo tu i owdzie w tej podróży wymykają się mu obrazki malowniczo naszkicowane, odzywa się nawet czasami jakaś struna poetyczniejsza, która wnet gluchnie w egotycznej treści dziełka. I dziwna to rzecz! jak można się tak przerobić w kółko machiny jakiejś, by się żadnym odrębnym nie objawić ruchem! W tej mierze p. hr. Strutyński jest typem mnogich ziomków swoich, porwanych wcześnie w wyższe a mianowicie wojskowe koła rossyjskie. I w czasie tej podróży zdarzają się mu sposobności ozwania się wewnętrzniejszego. Zdybuje ziomków!... postrzegł w nich tylko śmieszną stronę, do której wszyscy salonowce mają osobny zmysł, ale struna narodowa nie zabrzękła w nim. Raz tylko poruszył się nieco zdybawszy jakąś Ukrainkę urodzoną w majątku jego babki, ale i tu nie dźwięczy w nim struna narodowa ale rodowa.

Przy zdarzonej sposobności objawiać nawet lubi swoje kosmopolityczne poglądy, jak to czyni przy zdaniu prze-

lotnem o Michale Grabowskim, a mianowicie, gdy wychwalając melodję pieśni ruskich drwi z tych, którzy żądać mogą od niego by się miłował w polskiej muzyce. Jest w tej mieszaninie i uczoności nieco, którą nam pojawia cytując i greków i rzymian, i wyliczając wszystkie osady starożytne nad Pontem, Meotem, Dnieprem i Bugiem, z dodatkiem osad greckich w Italii, osad Jońskich, Eolijskich i Doryjskich!

Najpiękniejszym jest obrazek, w którym maluje dziką córę Kaukazu, Dagestankę rodem, która dzieckiem jeszcze dostała się do osad rossyjskich i zostawszy dziewicą poszła za mąż za kozackiego oficera Dobromirowa. Wera jest dobrą żoną, ale jej krew wschodnia, gorąca, prze ją ku innemu życiu, więcej czynnemu, i tylko czasem dogadza sobie siadłszy na dzielnego konia, i uganiając po górach i stepach.

Obrazek ten skreślony żywo i malowniczo, chociaż i w nim odzywa się tu i owdzie więcej wyobraźnia autora, niż ścisła prawda, którą autor poetyzuje po swojemu, jakby chciał dowieść, że dla człowieka w jego położeniu i stosunkach, żadna prawda nie może być prawdą, jeżeli nie jest prawdą konwencjonalną..

Rozmaitość.

*** Z nad ujścia Wisłoki.** Niedonosiłem wprzódy o nadziejach, jakie możemy sobie czynić z tego rocznych zasiewów; czekałem bowiem aż siewy wiosniane się skończą i czy się nie sprawdzi przysłowie że *„na Wniebowstąpienie Pan Jezus do nieba a ozimina na zagon wstępuje.“*

Ale niestety pokazało się inaczej; oziminy u nas, szczególniej żyta jak mazur powiada *pięknie wyginęły.* Nadzwyczajna posucha w jesieni, śnieżna potem zima a nareszcie przymrozki i śniegi w kwietniu do ich zniszczenia się przyczyniły. W wielu miejscach poorzyorywano żyto, pszenicę zostawiono, bo ta może przynajmniej siew wróci. Oto znowu widoki na zły rok i ani myśleć aby głodu i drożyzny na przyszłą wiosnę nie było; bo lubo zasiewy wiosniane przy częstych majowych deszczach nieźle wschodzą, ale wieleż to jeszcze nad niemi wisi wypadków! A potem nieurodzaju oziminy nigdy jarzyny wynadgrodzić nie mogą. Drożyzna ta od czasu psucia się ziemniaków i zniesienia pańszczyzny coraz się powtarzająca, wprowadza w błąd wielu mieszkańców miasta, co ulegając pod jej ciężarem zazdroszczą wiejskim gospodarzom *lat dobrych.* Ale mogę zapewnić że nie ma czego zazdrościć, bo cóż z tego że ceny wysokie, kiedy sprzedać nie ma co, a potrzeby coraz się bardziej zwiększają. To też mimo tych *lat dobrych*, przynajmniej w mojej okolicy nie ma nikogo coby mógł się pochwalić z robienia majątku. A przecież ja mieszkam niby w dobrej glebie bo w nadwiślańskiej okolicy. Lecz kiedy dawniej szpiklerze i stodoły bywały przepełnione, kiedy dawniej okolica ta zasypywała targi Tarnowskie i Rzeszowskie, a nawet czasem do Krakowa hołując lub spuszczając do Gdańska swe zboże, dawała dowód swych obfitych zbiorów, dziś cały handel tej okolicy ogranicza się na miejscowej sprzedaży, bo produkcja ledwie, i to nie zawsze, może miejscowej konsumcyi wydołać; oto najnamacalniejszy dowód nieurodzaju lat teraźniejszych!.

Nieurodzaju tego są następujące powody:

Zasiać w jesieni wcześniej mało kto potrafi, bo chociaż ma inwentarze dostateczne, to mu braknie ludzi do ich kierowania; nająć w tym czasie najtrudniej, bo chłop mając jeść pod dostatkiem, nie troszczy się o zarobek; czeladź jak wiadomo w tym czasie najczęściej opuszcza żniwa, bo już na wsi głód niezagraża, a dobra płaca od młocki, którą w każdej wsi sąsiedniej dostanie, do opuszczenia służby zachęca. Na siew trudno namłócić, bo na młocarni młóci się pszenica, a żyto na młocarni chyba ten młóci, co nie dba o budynki i słomę kłociastą; a jakże tu niedbać, kiedy dziurawe dachy już w stodole będące zboża mogą jeszcze popsuć. Żniwa dla braku rąk mimo wszelkiej forsy i sowitej zapłaty nikt nie jest w stanie przyzwoitym ukończyć, dla tego prawie ½ część ziarna w polu wylatuje.

Z każdym rokiem powtarzający się nieurodzaj musi wreszcie przyczynić się do wyjałowienia roli, bo kiedy mniej kop się zbiera, oczywiście coraz mniej nawozu się robi. Z tąd też łany na pozór tylko gnojone, nie mogą wydać obfitego plonu. Że zaś nawozu ze słomy żaden sztuczny nawóz zastąpić nie może, tego zdaje mi się dowodzić nie trzeba. Zaprowadzenie zaś sztucznych łąk i pastwisk nieprzyniesie pomocy sterkoryzacyi, bo na jałowej ziemi i trawa się nie rodzi, a potem żeby pole zasiane trawą przyniosło równą korzyść zasianemu zbożem, o tem należy wątpić; bo chów bydła na dochód liczony, nie do każdej miejscowości i nie do każdej kieszeni da się zastosować.

Przyczynia się także w znacznej części do nieurodzaju powszechne zaniedbanie od lat kilku wszelkich rowów i spustów wody. Na to tylko wysoki rząd poradzić zdoła, bo cóż pomogą zabiegi i praca prywatnego gospodarza. On wybierze starannie rowy ale jednak zbytecznej wody się nie pozbędzie, jeśli jego sąsiad niżej położony nieda jej spadku u siebie. Od czasu zniesienia pańszczyzny zdawało by się że usamowoleni włościanie mają dosyć czasu, aby tej tak potrzebnej roboty niezaniedbywali. Ale przeciwnie się dzieje, szarwarki gdzie niegdzie tylko około dróg publicznych odbywają, a wszelkie rowy i spusty pozałażone, tak że śmiało rzec można iż dzisiejsze oziminy po największej części dla tego wyginęły, bo wody z wielkich śniegów zebrane nie miały gdzie się podziać. Złe to z każdym rokiem się powiększające mojem zdaniem najwięcej z winy mandatariuszów powstaje, bo ci albo nie chcą się narazić gromadom, lub też zdają to na wójtów, których powaga pomimo złocistej laski niestety najczęściej tylko w karczmie przy kieliszku gromadzie się daje poznawać. Złemu temu zapobiedz można tylko przez jednorazowy powszechny rozkaz, aby w pewnym czasie wszystkie rowy i spusty dawniej istniejące odnowionemi zostały, i potem aby o nich od czasu do czasu miano staranie. Rozkaz ten powinien się tyczyć także właścicieli większych; przez wzgląd jednak że ci ostatni jako więksi właściciele a zatem i więcej mający w swym obrębie rowów, niemogli by dostać potrzebnych robotników, sądziłbym najstosowniej aby w dworskich łanach tam gdzie właściciel tego wymagać będzie, gromady tę robotę uskuteczniły a właściciel gromadzie żeby wynadgrodził zbożem według słuszności, które to zboże mogło by stanowić zakład funduszowy na tyle pożądane i już wiele razy nakazywane a nigdy skutkiem nieuwieńczone szpiklerze gromadzkie. Tym sposobem możnaby uzyskać dwa razem cele, a jeśli Bóg by nas nieurodzajem nawiedził, przynajmniej nie nasza w tem była by wina. Podobny rozkaz niejednemu nieprzypadł by do smaku, lecz gdzie ogół cierpi, tam pojedyńcze narzekania miejsca mieć nie powinny.

Gdyby towarzystwo gospodarcze podobne zadania obrabiało i je Wysokiemu Rządowi przekładało, kraj by widział jego użyteczność i nie potrzebowano by w odpowiedzi na paszkwile wywoływać z grobu sejmów i Sicińskich, którzy Bogu dzięki że spokojnie spoczywają. Żeby zaś każdy dowcip i wyśmianie niestosownych czynów miało być zdradą kraju, tego przyznać nie mogę, boć przecie Zyg-

munt August był królem a Pszonki i jego towarzyszy co zawiązując rzeczpospolitą Babińską przybierali godło *Ridendo castigo mores* zdrajcami nie nazwał. (D. n.)

* **Rycina do poprzedniego Numeru dołączona przedstawia:** 1. *Ubiór wiosenny.* Kapelusz jedwabny blondyną obszyty, piórami i kwiatami ozdobiony. Kania tego kapelusza wystaje trochę naprzód na kształt Marie Stuart i podwójną ruszą dokoła obszyta. Po jednej stronie kapelusza gałązka róż nisko spadająca a po drugiej kwiat akacii. Baskina zwana *Eugenie*, koronkami ozdobiona. Baskina ta jest bardzo obcisła i wysoko zachodząca, z przodu spięta pętliczkami szmuklerskiej roboty, rękawy krótkie z trzema falbanami koronkowemi, a dokoła obszyta baskina dwowa szerokiemi falbanami koronkowemi. Kołnierzyk muszlinowy haftowany, koronką valenciennes obszyty. 2. *Ubiór drugi.* Suknia z ciężkiej mory, kapelusz krepowy wstążkami wąskiemi, szeroką wstążką i blondyną przystrojony. Kania przejrzysta, puszami blondynowemi i pukielkami z wstążeczki białej przystrojona. Pod spodem ubrany ruszą blondynową i fontaziami z wstążki różowej. Na arkuszu krojów sukien damskich przedstawione Nr. 1. Krój mantylki letniej zwanej Fonti robi się z mory i koronką czarną obszywa. Nr. 2. Kołnierz pelerynowy z materyi jedwabnej obszyty frendzelką i guziczkami.

* Niezaprzeczoną jest rzeczą, że u nas coraz więcej podnoszą się sztuki piękne we wszystkich gałęziach. Najlepszy tego dowód mamy w litografii świeżo wyszłej w drukarni P. Pillera, przedstawiającej wnętrze kościoła archikatedralnego we Lwowie. Tak litografia jak i sam rysunek wykonane z wielką czystością i talentem. Mianowicie rysunek jest to robota młodziutkiego jeszcze chłopca p. T. Klement, odznacza się starannem wypracowaniem, i perspektywą osobliwie przodu i głębi doskonale zachowaną. Pan Klement jest uczniem malarza pana Tyca, który w braku u nas szkoły publicznej rysunków u siebie szkołę prywatną zaprowadził.

* Arcyksiężniczka Elżbieta małżonka arcyksięcia dowódcy korpusu w swoim przejeździe do Tarnopola przybędzie dzisiaj do naszego miasta i zajmie apartamenta przygotowane dla JExl. barona Hessa i zabawi przez jutro.

* Jutro zaczyna się 40 godzinne nabożeństwo w Archikatedrze łacińskiej; 1go dnia będzie grana msza Hummla, 2go dnia wielka msza Beethovena, z pomnożoną orkiestrą pod dyrekcyą kapelmistrza pana Piotrowskiego.

* Jutro dana będzie w teatrze staraniem pana dyrektora Glöggla na wsparcie zakładu głuchoniemych wielka akademia muzykalno-deklamacyjna plastyczna.

Przyjechali od dnia 23. do 25. Maja. do Lwowa.

PP. Hołodyński Jan z Krowicy hołodowskiej. Wierzchowski Edgard z Pleśnian. Wierzchowski Julian z Pleśnian. Tustanowski Władysław ze Żurawnik. Nanowski Alexander z Koniuszek. Sozański Celestyn z Błażowa. Dzieduszycki Zygmunt hr. z Medowy. Jaworski Apolinary z Ordowa. Brześciański Seweryn z Rustweczka. Siemiński Wilhelm hr. z Jarosławia. Ciepielowski Dionizy z Bratkowiec.

PP. Skarbek Władysław hr. z Tarnopola. St arzyński Józef hr. z Mogielnicy. Czerwiński Jan ze Złoczowa. Papara Antoni z Bałiatycz. Karnicki Teodor hr. z Michałowiec. Romaszkan Mikołaj z Wiednia. Okornicki Felicyan z Rozdołu. Czajkowski Robert z Dubiecka. Jaruntowski Jan z Hermanowiec. Jaruntowski Jan z Małkowiec. Wysoczański Alexander z Jakimowa. Papara Henryk z Zubowych mostów. Waszkiewicz Włodzimierz z Biłki.

Wyjechali od dnia 21. do 23. Maja ze Lwowa.

PP. Rozwadowski Erazm do Hładek. Lisowski Wojciech do Netreby. Turkuł Władysław do Tarnopola. Lanckoroński Stanisław hr. do Tarnopola. Strzelecki Eugeniusz do Wyrowa. Grob lewski Dionizy do Martynowa. Żurakowski Augustyn do Koreczyna.

PP. Cieleck i Leopold do Hodynkowiec. Bielski Stanisław do Brabuszna. Zawadzki Antoni do Złoczowa. Viviefi Wincenty do Podhorzec. Krzyżanowski Sylwester do Kamionki. Wysoczański Alexander do Jakimowa. Bobrowski Klemens do Korsowa. Stecki Adolf do Stryja.

Kurs telegrafowany z Wiednia 25. b. m. o g. 2 popołud

Augsburg za 100 złr. .	127	Pożyczka 5%	79¾ 4½ —
Hamburg za 100 tal. banco	92¾	Akcye banku	988
Londyn za 1 funt szterl.,	12 20	Kolej północna	1895
Medyolan za 300 lirów	126⅜	Obl. ind.	71⅛
Paryż za 300 franków .	147⅜	Nowa pożyczka z loteryą	101$^{13}/_{16}$
Agio duk. ces.	31⅜	Pożyczka narodowa . .	84¾

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

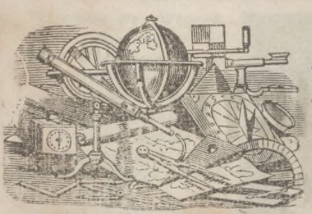
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	47	złr.	5	kr.	50
Dukat cesarski	„	5	„	51	„	5	„	24
Półimperyał zł. rosyjski	„	10	„	3	„	10	„	85
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	56	„	1	„	40
Talar pruski	„	1	„	52	„	1	„	53
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	24	„	1	„	50
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	94	„	5	„	94	„	72
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		72	„	30	„	72	„	50
5 proc. pożyczka narodowa		84	„	30	„	5	„	85

Lwów, 25. Maja. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 38 złr. 50 kr. do 39 złr. 30 kr. — Żyta po 27 złr. 25 kr. do 29 złr. 45 kr. Jęczmienia po 22 złr. 30 kr. do 24 złr. 30 kr. Owsa po 16 złr. — kr. do 17 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do 22 złr. — kr. — Ziemniaków po 18 złr. — do 19 złr. 30 kr. Sąg drzewa bukowego 42 złr. 30 kr. do 45 złr. — kr. Sosnowego po 37 złr. 30 kr. do 42 złr. w.w. Cetnar siana 4 złr. 35 kr. do 5 złr. 38 kr. Centnar słomy 2 złr 50 kr. do 3 złr. 45 kr. w. w. Garniec 30 topniowej okowity bez opłaty 4 złr. 10 kr. do 4 złr. 25 kr. w. w.

Do dzisiejszego numeru dołączony jest dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Dodatek do dziennika „NOWINY" Nr. 62. z roku 1855.



Do księgarni H. W. KALLENBACHA

przybył świeży transport

GLOBUSÓW

z najlepszej zagranicznej fabryki, zrobionych podług najdokładniejszych wyrachowań, z bussolami i kwadrantami, w rozmaitej wielkości i po rozmaitych cenach, od 1 Złr. do 36 Złr. m k.

Obwieszczenie.

Niżej podpisany poleca swój obficie zaopatrzony

Skład wyrobów płóciennych,

z fabryk hrabego Harracha

po stałych cenach fabrycznych.

Fryderyk Schubuth,

(68. 6—12) przy rynku pod Nrem. 173.

LICYTACYA.

W BAZARZE

obwodzie Czortkowskiem sprzedawać się będą meble, narzędzia gospodarskie, żelazne, z miedzi i część inwentarza ruchomego,

w dniu 30. maja r. b. przez licytacyą.

Handel sukienny i towarów wełnianych

G. Ruszczyńskiego

we Lwowie przy ulicy dykasteryalnej Nr. 62 otrzymał

świeży transport towarów wiosennych i letnich:

materje na spodnie w najnowszym guście od 4 do 8 zlr. Na twiny, surduty i płaszczyki. Perouvienne, Brasile, Draps d'été, Parisienne, Coating, Toskingi i Sukna w różnych kolorach, kamizelki angielskie i Sukna (liberyjne) Kołdry wełniane zwane sławuckie i wideńskie, które po najumiarkowańszej cenie szanownej Publiczności poleca.

(98.) (2—6)

Joanna Schumann (wdowa)

zawiadamia szanowną publiczność, iż fabryka maszyn i rolniczych narzędzi, we Lwowie pod Nr. 466 $^{4}/_{4}$ istniejąca za życia jej męża

FRANCISZKA SCHUMANNA,

żadnej nieuległa zmianie, i jak dawniej tak i nadal z tą samą starannością i pilnośsią wszystkie polecenia uskuteczniać będzie, i wszelkim żądaniom z największa dokładnością odpowie, a ręcząc za najlepszą robotę, o łaskawe względy uprasza. (94. 2—3)

Do końca bieżącego miesiąca

trwać będzie sprzedaż

NIESŁYCHANIE TANICH PŁOCIEN

w hotelu angielskim na 1szem piętrze Nr. 71.

Wyprzedawszy w skutek nadzwyczajnej taniości wiźkszą część mych towarów płóciennych, postanowiłem, dla uniknienia trudów i wydatków, którebym przy zabraniu napowrót cześci towarów poniósł, wyprzedać pozostałe jeszcze płótna **za najniższe ceny**, jakie tylko przyjąć podobna.

Osobliwie zaś donoszę, że otrzymałem właśnie z Wiédnia jeszcze

500 tuzinów białych, prawdziwie niecianych chustek od nosa, i

200 sztuk weby na darni blichowanej,

odznaczającej się równą i gładką przędzą i mającej szerokości sześć ćwierci łokcia, w sztukach po 65 łokci — jakoteż nowy zapas obrusów i serwet pojedyńczo lub razem na 6, 12 albo 24 osób.

Uwiadamiam przytem Szanowną tutejszą Publiczność, że odtąd co roku przybywać będę na tutejszy jarmarek z obfitym zapasem doborowych towarów płóciennych.

Szanownej publiczności dla zapobieżenia wszelkim niestosownościom wiadomo czynię, iż po za lokalnością sprzedaży nikogo do sprzedawania towarów nie upeważniam.

(102.—2)

M. Beyer, z Wiednia.

Podpisana
REPREZENTACYA DLA GALICYI
ces. król. uprzywilejowanej Tryestińskiej
AZIENDA ASSICURATRICE
WE LWOWIE

(84. 4)

zabezpiecza równie jak w zeszłym roku

SZKODY NA ZIEMIOPŁODACH
PRZEZ
GRADOBICIE
wyrządzone,

bezpośrednio w biórze przy ulicy Pojezuickiej, naprzeciw hotelu angielskiego pod liczbą 175 2/4, lub też przez ajentów na prowincyi, na podstawie funduszu towarzystwa t. j.:

Wypłacając zabezpieczonemu całkowitą szkodę zabezpieczoną.

Taż sama **Reprezentacya**, jakoteż jej **Ajenci** na prowincyi udzielają **Żądającym zabezpieczenia** potrzebne wyjaśnienia i blankiety do podań bezpłatnie.

Na listowne podania **Szanownych Stron** odpowiada **Reprezentacya** oznajmieniem premii, za której przesłaniem pod jej powyżej wyrażoną adresą udziela się zabezpieczenie od najbliższej 12tej godziny południowej **po odebraniu przesłanej premii**.

Listowne podania zawierać mają najprzód odpowiedź na następujące pytania w ogólności:

1) Nazwę miejsca, t. j. miasteczka lub wsi;
2) jak dawno zabezpieczenie Żądający w miejscu zamieszkały;
3) czyli można z **pewnością podać**, jak często wydarzały się w okręgu tego miejsca gradobicia, a przynajmniej, jak często w upłynionych ostatnich **osmiu latach**;
4) czyli sam poniósł w tymże miejscu szkodę;
5) czyli teraz mające się zabezpieczyć ziemiopłody nie zostały już gradobiciem, mrozami lub inuym sposobem uszkodzone.

Co do kawałków pól w szczególności:

1) Nazwę kawałka pola, na którym zabezpieczyć się mający gatunek ziemiopłodu, o ile ta nazwa znana jest zamieszkałym w miejscu, i opis granic tego pola, tak, ażeby niezachodziła żadna wątpliwość co do innych pól lub kawałków. Mały planik piórem — pojedyńczo zrobiony — może najlepiej zastąpić opis wiele czasu zabierający.
2) Ilość morgów i korcy wysiewu z oznaczeniem gatunku ziemiopłodu.
3) Wartość pieniężną spodziewanego zbioru w monecie konwencyjnej i w liczbach kończących się na nulę.

We Lwowie, w maju 1855.

1szy Sekretarz:	*2gi Sekretarz:*
Leon Ostrowski.	**Konstanty Wodecki.**